

Gabriel García Márquez

## **Ostatni rejs statku-zjawy**

*Przekład na język rosyjski - M. Pietrow*

*Opublikowane w miesięczniku „Bielskije prostory” № 6 (187) Maj, 2014 r.*

*Od tłumacza*

*W 2000 roku, zwrócił się do mnie znany petersburski iberysta Wiktor Andrejew. Krótco przedtem, przejrzał moje tłumaczenia niewydanych w języku rosyjskim opowiadań Kortasara. Tym razem, zaproponował dokonanie przekładu opowiadania Gabriela Garcii Márqueza „El ultimo viaje del buque fantasta” do przygotowywanego w wydawnictwie „Azbuka” zbioru utworów Márqueza - „Trzecia rezygnacja”. Istniał już przekład tego opowiadania wykonany przez R. Rybkina, jednakże tłumacz zaproponował odkupienie od niego praw na przekład kilku opowiadań, mówiąc krótko – oddawał je hurtem, o innym układzie nie chciał słyszeć. Koncepcja zbioru, widocznie, w tym czasie już była ustalona i tłumaczenia innych opowiadań w nią się nie wpisywały. Dlatego, potrzebny był nowy przekład. Nie mogłem odmówić wykonania takiego zadania. Co by nie powiedzieć, czy jakby to nie zabrzmiało, był to wielki honor dla mnie, człowieka, który dopiero wstępował do korpusu tłumaczy. Opowiadanie, napisane jednym zdaniem, w którym ważna jest intonacja, rytm, wciągający, zasnuwający, kołyszący niczym na falach - to fantastyczne, wręcz magiczne zadanie dla tłumacza.*

*Prawdopodobnie, komentarze do opowiadania nie mają sensu, wypadaloby, może, wspomnieć, że „chałaczyłag” - w języku węgierskim, to „gwiazda śmierci”.*

*Nie zastanawiałem się, dlaczego po węgiersku, a te nieliczne, spotykane wyjaśnienia, nie zadawałają mnie.*

*Michaił Pietrow, Sankt Petersburg*

Jeszcze mnie popamiętają, udowodnię im, zapewniat dudniącym głosem, który nabrał głębi na przestrzeni lat, jakie minęły od czasu, gdy po raz pierwszy zobaczył nieprawdopodobnych rozmiarów oceaniczny liniowiec, który pewnej nocy przepłynął w pobliżu wsi, bezszelestnie i bez jednego choćby światła na burcie, niczym jakiś ogromny pustynny pałac, większy od całej wsi i znacznie wyższy od cerkiewnej dzwonnicy i zniknął tam, gdzie po drugiej stronie zatoki tonęło w mroku ufortyfikowane przed piratami miasto z epoki kolonialnej, z portem, gdzie niegdyś handlowali niewolnikami, z latarnią morską, której reflektor, obracając się, skrzydłami nieprzyjaznego światła, co piętnaście sekund przekształcał wieś w księżycowy obóz świecących domów i biegnących po rozpalonych pustyniach ulic i chociaż on był wtedy jeszcze dzieckiem i jego głosik dźwięczał cienko, ale matka pozwalała mu tkwić do późna na brzegu i słuchać, jak wiatr szarpie struny swojej harfy i po dziś dzień dokładnie pamiętał tak, jakby zdarzyło się to wczoraj - liniowiec zniknął, kiedy tylko promień latarni morskiej dotknął jego burty i znów ukazał się, skoro tylko promień przemieścił się dalej, statek pulsował, pojawiając się i znikając przy wejściu do zatoki, wymacując na oślep, niczym lunatyk, oznaczające tor wodny pławy i nagle, widocznie coś się stało z kompasem, zmylił kurs, nadział się na podwodne skały, rozsypał się na części i bezdźwięcznie zatonął, chociaż przy takim zderzeniu, nieunikniony byłby zgrzyt metalu i wybuch turbin napędowych, które wprawiały w przerażenie potworów, drzemiących dotychczas w głębinach pierwotnej selwy, zaczynającej się tuż na peryferiach miasta i kończącej się gdzieś w innej części świata i on zaliczył widzenie na poczet snu, a nazajutrz, widząc iskrzące się akwarium zatoki, patchworkową koldrę rozrzuconych po pagórkach

murzyńskich chałup, szkunery gujańskich przemytników z papugami na pokładach, wola których były opchane drogocennymi kamieniami, upewnił się w tym: tak, zasnąłem, licząc gwiazdy i ten niesamowity statek, jasna sprawa, po prostu mi się przyśnił i nikomu o tym nie opowiedział, i nawet sam wkrótce zapomniał o tym zdarzeniu, aż tu nagle, dokładnie po roku, w taką samą marcową noc, obserwując w morzu figle delfinów, znów zobaczył złudny oceaniczny liniowiec, tak samo posępny, pulsujący, z tak samo smutnym losem, jak i rok temu, tylko teraz to nie był, oczywiście, sen i on pobiegł opowiedzieć wszystko matce, a ona trzy tygodnie gderła i lamentowała, ponieważ wbił sobie do głowy jakąś bzdurę i co dobrego w tym, że ma wszystko poprzewracane - śpi w dzień i włącza się nocami, jak złodziej, a ona akurat zamierzała pojechać do miasta, by wyszukać dla siebie coś wygodnego, na czym można było by posiedzieć i powspominać męża, bo już minęło jedenaście lat jak umarł, a bujany fotel zupełnie się rozsypał i matka korzystając z okazji uprosiła przewoźnika, by przepłynął nad rafą, żeby syn mógł zobaczyć to, co tak naprawdę dzieje się w witrynie morskiej: miłosne igraszki mantarrayi wśród kwitnących gąbek, różowe morskie okonie i granatowe obładry, bawiące się w łagodnych wodach, których gdzie indziej nie doświadczysz i nawet kołyszące się włosy topielców z jakiegoś rozbitego statku kolonialnego, ale żadnych oznak zatopienia liniowców i niczego podobnego do nich, jednakże on nadal upierał się i matka obiecała, że w marcu przyszłego roku posiedzi z nim nocą na brzegu - i to jest pewne - chociaż w jej przypadku o pewności można było mówić tylko w odniesieniu do fotela z czasów Francisa Drake, który kupiła tego dnia na targu od Turków i siedła w nim wieczorem by odpocząć, wzdychając, o, mój biedny Olofernes, gdybyś ty wiedział, jak mi przyjemnie myśleć o tobie, siedząc na tym aksamitnym obiciu ozdobionym brokatem, niby z pogrzebowego stroju królowej, ale im częściej wspominała zmarłego małżonka, tym silniej burzyła się w jej żyłach krew i krzepła czekoladą w sercu, jak by ona wcale nie siedziała, a męczona dreszczami biegła, ociekając potem, z nosem zatkanym kurzem i kiedy wrócił nad ranem, to znalazł ją martwą w fotelu, jeszcze ciepłą, ale już w połowie gnijącą, jakby pogryzioną od wewnątrz robakami i to, co zdarzyło się potem z jeszcze czterema seniorami, po czym śmiercionośny fotel wyrzucili jak najdalej, w morze, żeby nikomu więcej nie zaszkodzić, przecież na nim siedzieli tyle stuleci i teraz już nie zdolny dawać komuś odpoczynek, a on musiał się przyzwyczajać do roli sieroty, niewartej zazdrości i wszyscy odnosili się do niego pogardliwie, jak do syna wdowy, która podarowała wsi tron nieszczęść, do niego, żyjącego najczęściej z kradzieży ryb, niż z jałmużny, a jego głos, z dnia na dzień męźniał i on już nie wspominał o minionych widzeniach, póki pewnego razu, w taką samą noc kolejnego marca, jego spojrzenie przypadkowego nie zatrzymało się na morzu - i nagle, Boże mój, oto on, ogromny, biały, jak azbest, wieloryb, ryczące zwierzę - popatrzcie teraz na niego - krzyczał jak szalony - popatrzcie na niego - podniósł się niewyobrażalny harmider - szczekanie psów, zawodzenia kobiet - co najdawniejsze, staruszkom udzielił się strach przodków, więc pochowali się pod łózkami, przekonani, że wrócił William Dhampir, ale wybiegający na ulicę ludzie nawet nie spojrzeli w stronę morza - a przecież, wystarczyło tylko odwrócić głowę, żeby zobaczyć tę nieprawdopodobną maszynę, która w tej chwili znowu zbiła się z kursu i ginęła w corocznej katastrofie - przyłali mu od serca, a jeśli tak, to go popamiętaj, przysięgał z pianą na ustach, ale nie zdradził się żadnym słowem i cały rok układał plan - jeszcze im udowodnię, popamiętajcie mnie - i tylko czekał na odpowiedni moment, by wskoczyć do czyjejś łodzi, przepłynąć na drugą stronę zatoki i tam w oczekiwaniu swojej godziny cały wieczór błąkał się między kramami niewolniczego

portu, wśród pstrego tłumu handlarzy Morza Karaibskiego i pochłonięty swoją przygodą nawet nie zatrzymał się, jak zwykle, przed straganami Hindusów, by obejrzeć figurki z kości słoniowej, wycięte z całego kła, nie podroczył się z holenderskimi Murzynami na wózkach inwalidzkich, nie odskoczył ze strachu, jak przedtem, od Malajczyków w ozdobach ze skóry wężowej, którzy objechali cały świat, otumanieni bajkami o ziemi, gdzie można w jednej chwili się wzbogacić – wszystko to stało mu się obojętne i gdy tylko noc przygniotła go całym ciężarem gwiazd i z selwy nadciągnął słodkawy aromat gardenii i gnijących salamander, już pełną parą pracował wiosłami ukradzionej łodzi i płynął do wyjścia z zatoki, ze zgaszoną lampą, by nie przyciągać uwagi policji portowej, okrywany co piętnaście sekund zielonym skrzydłem latarni morskiej, a potem znowu ciemnością, wiedząc, że już niedaleko do pław, oznaczających tor wodny i nie tylko dlatego, że z każdym machnięciem wiosła ich uciążliwe światło stawało się jaskrawsze, ale także dlatego, że cichł oddech wody i on wiosłował pogrążony we własnych myślach i nie od razu usłyszał przerażające sapanie rekina, nie od razu zrozumiał, dlaczego nagle zgęstniała noc, jak zgasły wszystkie gwiazdy i powodem tego był, o mamo, ten sam gigantycznych rozmiarów oceaniczny liniowiec i był on większy od wszystkiego co było na świecie, i najciemniejszy ze wszystkiego, co jest na ziemi albo w wodzie, trzysta tysięcy ton rekiniego zapachu tak blisko jego łodzi, że można było odróżnić szwy stalowego olbrzyma i ani jednego promyka w niezliczonych iluminatorach, ani najmniejszego westchnienia w mechanizmach, ani aluzji na życie, a tylko ta, przyniesiona przez statek szczególna cisza, niewiarygodnie puste niebo, wyjątkowo martwe powietrze, spowolniony bieg czasu, niezwykle zmarszczki na morzu, lekko kołyszące się trupy zwierząt i nagłe machnięcie skrzydła - i wszystko znikło - w jednej chwili wróciła przeźroczystość Morza Karaibskiego, marcowa noc, codzienna pieśń pelikanów i on, sam jeden wśród pław, nie wiedzący, co robić, pytający ze zdziwieniem siebie, czyżby wszystko to mu się przywidziało, nie tylko teraz, ale i wcześniej, ale zamyślił się tylko na chwilę, bo jakiś tajemniczy powiew zgasił ognie pław, od pierwszej do ostatniej i gdy tylko światło latarni morskiej poszło dalej, liniowiec ukazał się znów, już z uszkodzonym kompasem, prawdopodobnie, nawet nie podejrzewając, na jakich wodach i jakiego oceanu się znajduje, poruszając się po omacku w poszukiwaniach niewidocznego toru wodnego, ale tak naprawdę, coraz bardziej zbaczając do podwodnych skał, i on, uświadamiając wreszcie sobie, że wygaszone pławy były ostatnim ogniwem w łańcuchu fatalnych czarów, zapalił lampę na łodzi, maluśki, czerwony ogień, który nie zaniepokoi wieży policji portowej, ale dla pilota stanie się wskaźnikiem, niczym słońce i dzięki niemu liniowiec skorygował kurs i, przeprowadziwszy manewr, wszedł w szerokie przejście toru wodnego i wtedy, równocześnie zapaliły się wszystkie jego światła, znów zaczęły oddychać kotły, zaświeciły się gwiazdy na niebie i trupy zwierząt poszły na dno i zadzwoniły talerze, popłynął z kuchni aromat wawrzynowego liścia i gruchnęła na oświetlonych księżycem pokładach orkiestra i żywiej zabiły serca kochających się w półmroku kajut, których miłość zakwitła na pełnym morzu, ale, jeszcze świeża była obraza i dlatego nie poddał się uczuciom i nie przestraszył się cudu, a umocnił się w jeszcze większym zdecydowaniu, że albo teraz, albo nigdy, niech to diabli, oni mnie jeszcze poznają, wszystkim im udowodnię i, nie ulokował się z boku statku, by go nie rozgniół ten olbrzym, a zaczął wiosłować przed nim, ponieważ jeszcze chwila i wszystkim im udowodnię, nie przestawał swoją lampą kierować statkiem, dopóki nie przekonał się na sto procent o jego pokorze i wtedy zmienił kurs i poprowadził go do przystani,

wyprowadziwszy z niewidocznego toru wodnego i ciągnąc za sobą, jak baranka na uwięzi, do ogni śpiącej wsi, już inny statek, żywy i wielki nie podlegający światłom latarni morskiej, której promienie już nie rozpuszczały go, a tylko co piętnaście sekund powodowały iskrzenie się poszycia i oto już stały widoczne krzyże na kościele, ubogie domy, nareszcie, a liniowiec nadal szedł za nim, niosąc w sobie i kapitana, śpiącego na tym boku, gdzie serce i uśpionych byków na korridorze i samotnego chorego w szpitalu i niepotrzebną nikomu wodę w cysternach i nieostrożnego pilota, który prawdopodobnie uznał za przystań skały i rozdzierającego powietrze, gdy tylko zrozumiał błąd, potężnego ryku syreny i on cały przemókł w osiadającym na niego ze statku obłoku pary, syrena ryknęła jeszcze raz i łódź omal się nie wywróciła i znów syrena, ale już zbyt późno - oto one, muszelki na brzegu, bruk ulicy, drzwi domów wszystkich niewierzących, cała wieś, oświetlona ogniami śmiertelnie przerażonego liniowca i, on ledwie zdążył odskoczyć w bok, by pozwolić spełnić się katastrofie, no co, gnoje, krzyczał, przekrzykując huk, teraz wierzyście i za chwilę ogromny stalowy korpus rozpruł ziemię i zadzwoniły rozbijające się o pokład dziewięćdziesiąt tysięcy pięćset kielichów do szampana i wtedy zrobiło się jasno i już nie było marcowego poranka, a było południe rozświetlonej środy i on rozradowany patrzył na wierzących ludzi, na rozdziawione gęby gapiących się na oceaniczny liniowiec, taki ogromny, że chyba nie ma do czego go przyrównać ani w tym świecie, a ni w tamtym, utkwionego przed cerkwią, bielszego od wszystkiego w okolicy, dwadzieścia razy wyższego od dzwonnicy i prawie sto razy dłuższego od wsi, a jego nazwa - chałaczyląg – iskrząca się żelaznymi literami na burtach, po których leniwie spływały dawne wody martwych mórz.

*Przekład: Tadeusz Rubnikowicz*